

# Dekada Literacka

Kraków

6—12 IV 1991 r.

Tygodnik

Nr 18

## Dulska w przymierzu z Nietzschem

Jerzy Jarzębski

Potwór, koczokodan w barchanowym szlafroku, uosobienie prymitywu, chciwości, hipokryzji. Spójrzmy, jak widzi ją Makuszyński:

„Nalana fizjonomia, pierze we włosach, a przed wielką uroczystością papiloty ze starej gazety, wykrzywione bucki, obłożona spódnica. Głos piskliwy albo bardzo krzykliwy, jeśli idzie o cudze świństwo, albo bardzo cichy, jeśli idzie o własne. Oczy chytne i niespokojne. Władza w domu absolutna. Królestwo pani Dulskiej typowe, ponure mieszkanie z salonem. Zjedzone przez moje pluszowe meble. Na ścianach cztery „landshafty”, po dwa naprzeciwko; na podpartym deszczulką stole włóczkowe roboty, na komodzie fotografie w ramach z muszelek. Lampa z abażurem z bibułki, chiński wachlarz na piecu, ekran empire kupiony okazynie.”

A więc

### ponadczasowa drobnomieszczanka?

W naszych czasach dotalibymy jej telewizor przykryty koronkową serwetą, meblisciankę na wysoki połysk, jakieś obowiązkowe kryształowe półce itd. Za to w postaci samej Dulskiej — jakaś przemiana: barchanowy szlafrok obróci się dziś w pewexowski penluar, nakręcone lokówki przykryje lekki jak puch czepek — tylko kamienica... no cóż, zastąpi ją może jaki warsztat czy butik.

Wyda się, że mamy gotowy przepis na Dulską, że umiemy ją nazwać i przyspikować, zidentyfikować i wskazać

miejsce na społecznej drabinie, mało — że prócz definicji Zapolska dała nam w swej sztuce gotową formułę nienawiści. Więc okropna — bo brudna, zaklamana, chciwa, bezwzględna, obtudna, cóż tam jeszcze?... Dulska jest postacią tak jednoznacznie, zda się, negatywną, że aż dziw, jak łatwo znajdujemy jej odpowiedniki w świecie realnym — sami przekonani, że oszczędzono nam trucizn, które ją przepelniają. Tak jakby zjadliwa tragifarsa Zapolskiej była jakimś egzorcyzmem pozwalającym poznać diabła i wygnąć go (pozornie, pozornie...) ze społeczności ludzkiej.

Ale z Dulską sprawa nie tak łatwa. I to nie tylko dlatego, że — jak zauważył już Boy czy Irzykowski — autorka jest stronnicza; że „urządza” swoją bohaterkę tak, jakby to ona jedna była źródłem całego społecznego zła. Aby

zrozumieć Dulską,

trzeba zrozumieć w pierw samą Zapolską i jej spór z mieszczańskim światem.

Kimże była autorka Moralności dla bogobojnych radeżyń, doktorowych, właścicielek kamienic? Skandalistką, grzesznicą, kobietą rozwiązłą, nie dbałą o przestrzeganie najświętszych norm moralnych. Wychodzi za mąż i niebawem się rozwodzi, miewa głośne romanse (jak ten z Gawalewiczem), otaczają ją wielbiciel, a co najgorsze — wybiera zawod aktorki, czyli nieledwie — jak wierzyły zacne mieszczyki — kobiety publicznej. Do tego jeszcze pisze — i to jak! Wywleka na wierzch brudy, ujawnia sprawy wstydlive, gwałcać powołanie sztuki, która wszak winna przenosić nas

w lepszy świat. Zapolska jest więc dla swych prześladowczyń po prostu „bezbożnicą” i myślę, że epitet ten musiała słyszeć w swym życiu niejednemu raz, a nienawiść do środowiska, które ją tak oceniało, narastała z pewnością latami.

Pierwsze zatem, co widać w Dulskiej, to namiętne pragnienie odegrania się na dręczycielkach. — Co? Ja — „nie-moralna”, ja — „bezbożnica”?! — zdaje się mówić pisarka — sprawdźmy może lepiej moralność i zasady tych pań! — Do obnażania hipokryzji „Dulskich” Zapolska bierze się z taką werwą, że doprawdy nie ma potrzeby raz jeszcze powtarzać tu aktu demaskacji. Ale w „tragifarsie” mówi się też coś więcej — i ciekawiej — o stanie społeczeństwa i kultury przelomu wieków.

W 1906 roku, kiedy powstała Dulska, żywa była jeszcze pamięć o deklaracji Nietzschego, ogłaszającej pod koniec XIX stulecia „śmierć Boga”.

### Dla pobratymczyń pani Dulskiej

eksklamacje takie stanowiły prawdziwie dzieło Szatana, a rzeczona „śmierć Boga” — produkt bluźnierczych roztrząsań niedowarzonych mędrków. Zapolska próbuje wykazać, że w zacnym domu Dulskich Boga zabija sięomalże skuteczniej niż na wyżynach filozofii. Upadek wiary ma miejsce jednocześnie wśród swobodnych duchów — i pośród przyziemnych „mydlarzy” czy „filistrów”, tyle że jedynie pierwsi potrafili to zauważyć i mają dość odwagi, by się do tego przyznać.

I tak Nietzsche zabija Boga

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

ZOFIA ILIŃSKA-MOSELEY, urodzona w Wilnie, od trzydziestu lat pisze i ogłasza swoje wiersze po angielsku. Jest również tłumaczką poetów anglosaskich, m. in. Geralda Manley Hopkinsa i T.S. Eliota. Prezentowany wiersz pochodzi z tomu *Wiersze w zbożu* (OPiM, 1970), a przetłóżony został z angielskiego przez znaną poetkę, Beatę Obertyńską.

## THE REFUGEE

Zofia Ilińska—Moseley

Przyjechałaś tu dwadzieścia lat temu jako „refugee”.  
Dziś masz brytyjski paszport  
i prawo do starszej pensji.  
Matkę pochowałaś w Irlandii,  
Męża pochowałaś w Polsce, nazywanej Rosją  
na najnowszych mapach.  
Brat twój osiedlił się ostatecznie w Kanadzie,  
Córka w Kornwalii hoduje wieprze  
i pisze wiersze w obcym języku.  
Synowie na Malajach walczyli z bandytami,  
potem była Afryka — potem Kanada.  
W listach ich czytałaś o krokodylach i małpach;  
o wielkich nieruchawych słoniach,  
które wśród dzikiej pustki strzegą własnych kłowi;  
o ziemie twardej i głębokiej, o polarnych psach  
i o pieśni polarnych psów wieczorne długo i molłowo,  
o mewach i zimorodkach; o bezmiernym oddechu morza, kiedy  
przypływ czy odpływ — aż od tych wszystkich obcości  
Przychliły ci w pamięci strumienie własnego dzieciństwa...

Rozumiesz język zięcia i synowych. Oni —  
z twego — opanowali już „tak” i „nie”.  
Zadne z wnucząt (a jedno jest kaleka)  
nie zna twojej rodzimej mowy;  
nauczyły się tylko mówić do ciebie „babciu”.  
I to jest jedno z najszcześliwszych twoich słów.  
Czasem śmiesz cię ta mieszanina rodzinna.  
Czasem myślisz: „Jakie to wszystko dziwne”.  
Czasem nie wiesz do kogo w jakim mówić języku.  
Czasem bierzesz jeszcze do kościoła swój dawny mszał —  
ale rzadko i raczej przypadkiem...  
Zwierzyłaś się raz komuś że sny twoje mówią już też  
po angielsku...

\*

Do czterdziestego roku życia  
nie przyjmowałaś w domu ludzi rozwiedzionych.  
Do czterdziestego roku życia nie znałaś słowa „homoseksualizm”  
a przecież cywilizowana i nie nadto osłonięta od życia  
szeroko patrzyłaś na świat.

Do czterdziestego roku życia nie wiedziałaś co to brak pieniędzy  
potem przyjaciel powiedział: „zebracy nie mogą być  
wybredni”.

Nigdy nie opuściłaś niedzielnej mszy.  
Nigdy nie byłaś u psychiatry...  
Nigdy nie powiedziałaś i nie pomyślałaś nigdy,  
że cię coś „nie nie obchodzi”.  
Nie pozwalałaś cierpieniu zamienić się w obsesję.  
Za zło największe uważałaś grzech.

Dziś jesteś kobietą starą i bardzo piękną,  
silną i pełną pogody,  
Żyjesz w zgodzie z żywiołami,  
nawykła oswajać obcych, ptaki i wiewiórki,  
I tylko czasem — choć nie zdajesz sobie z tego sprawy —  
twarz osuwa ci się ku coraz głębszym pokładom smutku.  
To zdarza się jednak wtedy tylko  
kiedy się brama za dziećmi zamyka,  
Albo kiedy przy stole — między daniami — przeciąg  
drzwi jakieś w głębi domu zatrzaśnie, i nagle  
Nie zupełnie nie ma już do powiedzenia.

W DNIACH 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

## „Cuda zdarzają się tym, którzy wierzą”

Krzysztof Lisowski

W DNIACH 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

szanach 16—20 MARCA 1991 ROKU ODBYŁO SIĘ W WARSZAWIE I CAŁYM KRAJU SPOTKANIE POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OBCYZNY. Ten niecodzienny, a przez wielu uczestników uznany za historyczny, zjazd zorganizowała Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Rozesłano 160 zaproszeń do ludzi pióra rozsiadanych po całym świecie, od Drohobycza po Melbourne. Niestety, z racji niedogodności terminu, zajęć zawodowych (na uniwersytetach zachodnich rozpoczęło się wkrótce sesja egzaminacyjna), niedyspozycji zdrowotnych, wielu pisarzy nie mogło przyjechać. Wszyscy jednak odpowiedzieli na zaproszenie, a na uroczystej inauguracji spotkania, w mie-

# Dulska w przymierzu z Nietzschem

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

„z wysoka”, odcina się od religii suwerennym gestem potężnego indywidualizmu — pani Dulska tylko „wzywa go nadaremno”, nie bacząc na szydercze komentarze Hesi i Zbyszka, czyli tych jej latorośli, które nie mają już żadnych złudzeń.

Dulska, nie wiedząc o tym, żyje na ziemi wydziedziczonych, „ziemi Ulro” — jak ją za swymi XVIII-wiecznymi poprzednikami nazywał Miłosz. W jej świecie nie ma już miejsca na wyższe motywacje i porywy serca — wszystko co żyje słuchać musi nakazów przyziemnego praktycyzmu. To

## mieszczańskie piekło

przełomu wieków przerażało niejednego świadka epoki. Zagładę kultury, z której wyparował duch i świętość, wieszczyl Ortega y Gasset, Spengler, Dawson, Toynbee, Schweitzer czy Sorokin; w Polsce —

Witkacy, Znaniecki, Zdziechowski. I choć Zapolskiej trudno przypisywać zamiysł twórczenia jakiejś kulturowej „uniwersalnej prognozy”, intuicyjnie jednak przeczuła ona świetnie, że trucizny fin-de-siècle'u przesączały się do wszystkich warstw społecznych. Boga zabija więc i Dulska — codziennie, po trochu, z gębą pełną nabożnych frazesów.

Ale czy wolno nam z bohaterki sztuki uczynić „diabła”, winowajczynię powszechnego kryzysu? Krytycy bardzo wcześnie zauważyli, że reszcie rodziny Dulskich też niewiele brakuje, tzn. że trudno coś budować na „buncie” Zbyszka czy słodkiej poczciwości naiwnej Meli — oni przecież także są u mamy na garnuszku i to wyznacza granice ich nonkonformizmu. A ona sama — mama Dulska? Może tylko lepiej od innych zrozumiała

## prawdła świata,

w którym żyje, jej też przychodzi karcie domowników, którzy z owych prawdł się wylamują.

Jakie to są prawdła? Mówiąc najprościej, Dulska żyje w świecie-mechanizmie, w którym jedyną wartością niewątpliwą jest pieniądź. Nawet przeciw opinii „publiki” interesuje ją o tyle tylko, o ile wpływa na wysokość czynszów z kamienicy, szanse dobrego zamażpójścia córek itd. Rebelia Zbyszka, majaczenia żyjącej fantazją Meli sprawiają jej sporo kłopotów, ale ci przecież zapominają na chwilę, w jakim świecie żyją, trzeba więc przywołać ich do porządku. Dom musi być trzymany żelazną ręką — inaczej wszystko się rozsypie.

I rzeczywiście: nie zasady rządzą przeciw postępowaniem Dulskich, a prawo silniejszego pod ręką z zasadą przyjemności. Na razie silniejsza jest pani domu, ale jeśli czegoś nie dopatry — zawali się, jeśli porządku nie dopilnuje swym argusowym okiem — wszystko rozpełźnie się, a domownicy folgować będą swym zgubnym nieogom. Więc może heroiczna jest Dulska? Gdyby nie

ona, Zbyszko zatruciliby się zupełnie, Hesia zesłała na złą drogę, Meli utonąła w fikcji, a nawet stary Dulski przepuścił swe apanaże na cygara i kawiarnię.

Potwór-Dulska, przy całym swym zakłamaniu, rozumie więc odrobinę więcej z otaczającej ją rzeczywistości niż naiwni domownicy; z modernistycznego kryzysu wartości wyciąga natychmiastowe, praktyczne wnioski. I tak dobrze, można by rzec, iż jej egoizm nie dotyka najbliższej rodziny: wszak mężowi i dzieciom przynajmniej dobrze żyć, choć na co dzień terroryzuje bez litości.

Ale czy Dulskiej dobrze się żyje?

## Krzywdy wyrządzone otoczeniu

niedoszłej samobójczyni, Hance — wracając do niej rykoszetem, bo nie mając serca dla nikogo, od nikogo też serca nie może oczekiwać.

Dulska wstaje skoro świt i przez cały dzień trzyma się, by swój dom, swój mały mikrokosmos utrzymać w porządku. Wysiłek to zaiste syzyfowy i choć Zapolska zdaje się nas zapewniać: „Przeżyje nas wszystkich!”, bohaterka sztuki budzić może mimowolny podziw.

Oddzielmy więc ziarno od plewy: to nie ponadczasowe „drobnomieszczańskie” cechy godne są w Dulskiej potępienia — dość szkody już wyrządziło nam pomiatanie takimi przymiotami, jak gospodarska skrzętność i zapobiegliwość. W Dulskiej przeraża to, że podług niej już „wszystko wolno” — oszukać, wyłudzić, skrzywdzić — byleby tylko nikt się o tym nie dowiedział. „Wszystko wolno”, bo nie ma Boga — a zatem może się zdarzyć, że draństwa nikt nie zauważy.

„Ach! jak ja się będę teraz lotrował! jak ja się będę lotrował!” — powiada Zbyszko, kiedy już połączone siły rodzinne wymuszają na nim uległość. I nie dziwnego: skoro proste zasady moralne przestały obowiązywać, każdy eksces daje się usprawiedliwić. Zapolska „śmierć Boga” w domu Dulskich ukazała z pozycji bardziej socjalistycznych i wolnomyślicielskich niż chrześcijańskich — to pewne. Ale może i przez to diagnoza jej nabiera chłodu i ostrości. Bo niekoniecznie „bezbóstniczo”, ale wprost nihilizm naszej epoki przyłapany tu został u swych, by tak rzec, przyziemno-domowych źródeł.

Jerzy Jarzębski

# Co nowego w prasie?

Czesława Miłosza zainteresował fenomen ogromnej i nieustającej poczytności książek Rodziewiczówny, o czym dowiedział się podczas ubiegłorocznej wizyty w Polsce. Zastanowił mnie i wierność nowych pokoleń autorce właściwie dziewiętnastowiecznej, i zażenowanie wykształconych, czy jak to się nazywa, intelektualistów (...) Żeby sobie to i owo wyjaśnić, sam zacząłem czytać Rodziewiczównę, jedną książkę po drugiej, i coraz bardziej zdumiewałem. Owocem tych lektur jest obszerny esej pt. „Rodziewiczówna”, drukowany w ostatnim (3) nr paryskiej KULTURY.

Miłosza mało interesuje literacka wartość dzieł autorki „Dewajtisa”, choć przyznaje jej dar ciekawego opowiadania. Zafrapowała go natomiast ta twórczość jako realistyczne świadectwo historyczne, a jeszcze bardziej bodaj jako odbicie zbiorowej świadomości. Świadomości polskiego ziemiaństwa na terenach Polesia, Białorusi i Litwy. Tam właśnie tkwiły korzenie noblisty, do których z upływem lat coraz częściej powraca. W moim powrocie do Rodziewiczówny ktoś może dopatrzeć się przekory czy nawet perwersji. Otóż nie. U nikogo z powieściopisarzy nie znajdują tyłu realiów dotyczących wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej w drugiej połowie dziewiętnastego wieku czy na początku wieku dwudziestego. U nikogo też nie ma tak wyraźnie utrwalaonych postaw stereotypowych, widocznych zarówno u samej autorki, kiedy rozdziela swoje sympatie i antypatie (...) jak i u jej bohaterów. (...) Czytanie Rodziewiczówny przypomina więc nieco czytanie pamiętników.

Esaj Miłosza jest wielowątkowy. Autor, dla którego legenda Kresów jest czymś bardzo realnym, rozważa specyfikę tamtejszego ziemiaństwa, osobliwy klimat egzystencji tej grupy, jej podświadomą polsko-litewską dwunarodo-

wość, jej stosunek do litewskiego odrodzenia narodowego i stosunek do Żydów. Jest też dwoisty we własnym stosunku do tamtego, bezpowrotnie minionego świata: Czytanie Rodziewiczówny jest zajęciem bolesnym, raniącym, to jakby czytać kronikę rodzinną, w której występują nieszczęśliwi, okaleczeni przodkowie. Dzieje się tak dlatego, że jej powieści nie dają się oddzielić od naszej wiedzy o tym, co stało się na tamtych ziemiach przed czasem ich akcji i po nim, aż po najnowsze dziesięciolecie. A jednocześnie Miłoszowa ocena świata bohaterów Rodziewiczówny brzmi — mimo wyraźnego sentymentu — krytycznie: ... jest pisarką nieszczęśliwego społeczeństwa szlacheckiego, które nie tylko zastępyło w swoich obyczajach, ale jeszcze cofnęło się w porównaniu z szybko postępującym gdzieś indziej dziewiętnastym wiekiem. (...) Polska dworu i szlachecka uległa zapiekowaniu żywo.

W tym samym nr. „Kultury” znajdujemy przejmującą wiersz „List do przyjaciela z Alabamy”, pióra naszego redakcyjnego kolegi Krzysztofa Lisowskiego.

Interesującym się ikonografią chrześcijańską gorąco polecam w świątecznym TYGODNIKU Powszechnym felieton Chrzana, z którego dowiadujemy się, dlaczego plastyczne przedstawienia Zmartwychwstania są tak schematyczne, a także jaki artysta, jedyny w historii sztuki, potrafił ująć tę scenę w sposób trafny teologicznie i wstrząsający malarsko.

J. L.

# „Cuda zdarzają się tym, którzy wierzą“

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

wszelkiej współpracy z instytucjami kontrolowanymi przez władze totalistyczne. Oczywiście, uchwała ta nie miała charakteru imperatywu, lecz wielu członków związku do niedawna jeszcze jej się podporządkowywało. Inni pisarze powrócili z emigracji do kraju, spora ich grupa — szczególnie po roku 1956 — zaczęła też publikować w krajowych oficynach swoje książki. Były to trudne decyzje pisarskie, ci bowiem, którzy upowszechniali swą twórczość jedynie za granicą, mieli świadomość ograniczonego, z konieczności, jej odbioru. Prezes Garliński podkreślił, iż literatura polska jest jedna. Nie wątpił, że do tegorocznego spotkania w Warszawie dojdzie, ponieważ — jak się wyraził — „cuda zdarzają się tym, którzy wierzą”. Od całej społeczności pisarskiej swego związku przekazał słowa pamięci i przyjaźni dla pisarzy krajowych.

W SWYM KRÓTKIM WYSTĄPIENIU MINISTER KULTURY I SZTUKI, MAREK ROSTWOROWSKI, powitał serdecznie zgromadzonych pisarzy, uznając to spotkanie za kongres literatury polskiej. Również sekretarz generalny Polskiej Sekcji PEN-Clubu, Anna Trzeciakowska, potwierdziła doniosłość obecnego zjazdu i życzyła w imieniu władz PEN-Clubu owocnych obrad.

W przerwie, przed sesją poświęconą części referatowej zjazdu, rozpoczęły się spotkania i rozmowy nieoficjalne. Pisarzy spoza kraju podejmowali m.in. przybyli na inaugurację — Julia Hartwig, Jerzy Turowicz, Piotr Wojciechowski, Marek Nowakowski, a także historycy literatury oraz liczne grono dziennikarzy prasowych i telewizyjnych. Pierwszych wypowiedzi dla programów radiowych i TV udzielił: znakomity prozaik Tadeusz Nowakowski (notabene światowa prapremiera adaptacji scenicznej jego znanej powieści „Obóz Wszystkich Świętych” odbyła się 16 bm. w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie), nestor poetów londyńskich, Józef Bujnowski, znany toroncki poeta, przedstawiciel II Awangardy, Wacław Iwanuk, tłumacz liryki polskiej na

język hebrajski, profesor Dawid Weinfeld z Izraela; tu wreszcie, po przeszło trzydziestu latach spotkało się aż czterech członków założycieli londyńskiej grupy literackiej „Kontynenty” (Adam Czerniawski i Bolesław Taborski z Londynu, Jerzy S. Sito z Warszawy, Florian Śmieja z uniwersytetu Western Ontario z Londynu kanadyjskiego).

NIEDZIELNEMU SPOTKANIU TOWARZYSZYŁA WYSTAWA „LITERATURA BEZ CENZURY”, na której ekspozowano książki i czasopisma wydawane zarówno w głównych ośrodkach poza krajem (bogaty zbiór paryskiego Instytutu Literackiego, Polonii, Polskiej Fundacji Kulturalnej z Londynu, Oficyny Poetów i Malarzy, Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie i wielu innych zasłużonych oficyn), jak i liczne wydania literatury publikowanej w krajowym „drugim” obiegu. Można też było nabyć wybrane pozycje książkowe uczestników zjazdu, choćby wydany w Bibliotece „Więzi” wybór wierszy Wacława Iwanuka „Potwór” czy interesujące wspomnienia niestety nieobecnej w Warszawie, Stefani Kossowskiej, pt. „Galeria przodków”.

W DRUGIEJ CZĘŚCI WYGŁOSZONE ZOSTAŁY REFERATY: Krzysztofa Rutkowskiego z Paryża — „Chwała i zmierzch literatury emigracyjnej”, dwugłos Krzysztofa Dybiaka i Jana Zielińskiego — „Sytuacja polskiej literatury emigracyjnej na tle literatury europejskiej” oraz tekst Tomasa Burka pod tytułem „Literatura krajowa i emigracyjna jako naczynia połączone”. Tezy wszystkich wystąpieli były podobne — w rzeczywistości zdemokratyzowanej Polski i odmienionej Europy literatura emigracyjna znajduje się w fazie przełomu; istnieje teraz właśnie szansa na partnerski dialog z literaturą europejską; badaczy, historyków literatury i edytorów czeka ogromna praca rozpoznania, zewidencjonowania, a w dalszej przyszłości przybliżenia krajowemu czytelnikowi dorobku mniej dotąd znanych pisarzy tworzących na obczyźnie.

W trakcie następnego przerwy kontynuowano wywiady dla środków masowego prze-

kazu oraz rozmowy kulturalne, a po obiedzie odbyła się wzruszająca uroczystość wręczenia przyznanej po raz pierwszy 25 stycznia br. Aleksandrowi Jurewiczowi Nagrody Czesława Miłosza za jego powieść pt. „Lida”. Przewodniczący jury, Jan Józef Szczepański, przedstawił werdykt i uzasadnienie, a następnie wręczył wyróżnionemu poecie i prozaikowi z Gdańska również nagrodę dodatkową, przyznaną przez Fundację imienia Marii i Jerzego Kuncewiczów.

OFICJALNE ZAKOŃCZENIE SPOTKANIA POLSKICH PISARZY Z KRAJU I OB-CZYNY NASTĄPIŁO W ŚRODE, 20 marca br., w Domu Pracy Twórczej w Oborach pod Warszawą.

Spotkanie krakowskiego środowiska literackiego z grupą pisarzy z różnych stron świata odbyło się 19 marca br. Licznie zgromadzeni członkowie SPP oraz przedstawiciele środowiska uniwersyteckiego (wieczór odbywał się w lokalu Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego) zawięli się nieco z powodu nieobecności zapowiadanych gości: Józefa Garlińskiego (który jako znany historyk, autor pamiętnych opracowań na temat m.in. rozszyfrowania „Enigmy” postanowił spotkać się z reprezentantami wojska), prof. Haliny Neiken, autorki „Pamiętnika z getta w Krakowie” czy esejisty londyńskiego Marii Niemojowskiej.

Przybyli natomiast: poetka z Chicago, Joanna Bielobradek, autorka dramatów oraz zbiorów liryki „Stępcy” i „Bracia Żydzi”, Zofia Ilińska „Moseley z Wielkiej Brytanii”, poetka pisząca obecnie wyłącznie po angielsku i tłumaczka dramatów T.S. Eliota, Tadeusz Wyrwa z Paryża, pisarz-historyk i publicysta oraz prof. Dawid Weinfeld z Izraela, tłumacz na hebrajski m.in. utworów Miłosza i Herberta, recytujący przed zebranymi swoje przekłady wierszy „Kiedy księżyc” Czesława Miłosza i „Potęga smaku” Zbigniewa Herberta.

Utwory poetyckie, jak i sylwetki oraz dorobek twórcy nieobecnej Marii Bujńskiej przybliżyła znakomita krakowska aktorka, Anna Lutosławska.

Krzysztof Lisowski

# Życie bez smokingu

Bohumil Hrabal

Nymburskie gimnazjum realne wspominam jako zakład dla lekko zbuntowanych, zakład, gdzie w ciągu siedmiu lat dzieci zmieniają się w młodzieńców i panny. Dla mnie jednak ten lśniący zamek był nieprzerwaną ścianą lamentu i strachu, miejscem, gdzie przeżyłem najrozmaitsze sytuacje stresowe, z których nie umiem się do dziś wydobyć. Nie licząc śpiwu i gimnastyki, dostateczny miałem tylko z przyrody, we wszystkich pozostałych przedmiotach nie tylko że pływalem, ale wręcz tonalem, ponieważ nie potrafiłem się uczyć. Przez cały ten czas otaczał mnie szczelny kłosz niewiedzy. Wstydzilem się, gdy mnie wywoływano, czerwieniałem się, dukałem to, co mi podpowiedzieli koledzy z pierwszych rzędów... byłem jeszcze bardziej speszony. Wreszcie, całkiem już wkurzony, że nic w szkole nie znaczą, wpadłem na pomysł, żeby się też czymś zapisać w pamięci profesorów i kolegów, pokazać im, że i ja coś znaczą, że w czasie lekcji mogę zrobić coś, czego oni nie potrafią. Toteż z wielkim samozaparciem wykreślałem różne numery, postanowiłem bowiem, że muszę przejść samego siebie, tak jak to robili w amerykańskich groteskach Chaplin, Frigo czy Harold Lloyd. Te chwile małego buntu nie były dla mnie takie łatwe. Musiałem się nieraz zdobyć na wielką odwagę, żeby dokonać czegoś, za co potem byłem wpisany do dziennika i otrzymywałem czwórki, a czasem nawet trójki ze sprawowania. I, o dziwo, za ten mój czarny humor bardzo mnie moi koledzy lubili, niektórzy nawet mnie podziwiali. W ten sposób ich doskonałe piątkowe odpowiedzi równoważyłem swoimi małymi wybrykami. Być może, moi koledzy lubili mnie dlatego, że to właśnie za nich mówiłem lub robiłem coś, na co im nie starczyłoby odwagi... Ta moja nieumiejętność uczenia się, ta moja niezdolność do brania w palce podręcznika, który tylko kartkowałem, ten mój imbecylnizm, polegający na nieumiejętności słuchania wykładów, wypływały chyba z tego, że bywałem na ogół bardzo rozmarzony i przeważnie bujałem w obłokach.

Dziś sędzę, że to moje bujanie w obłokach wynikało stąd, iż moja szkoła nad szkołami, moim superuniwersytetem był browar i rzeka, i drzewa, i nie kończące się przechadzki, i wódczuga. Przypominam sobie, że to, iż bujałem w obłokach, nie odnosiło się tylko do szkoły. Ten szczelny kłosz niewiedzy szedł stale wraz ze mną uliczkami miasta. Zawsze, gdy ktoś mnie zatrzymał, żeby o coś zapytać, byłem tak zaskoczony, że odpowiadałem, tak jak w szkole, bez sensu. A poza tym popełniałem różne gafy, zwłaszcza gdy byłem sam na sam

z dziewczyną. Musiałem się mocno pilnować, żeby z powodu pięknej buzi, loków i kokardy nie popaść prawie że w omdlenie. Mój stosunek do innych ludzi wynikał stąd, iż nie tylko wówczas, ale i dziś jeszcze mam cały czas wrażenie, że inni znacznie mnie we wszystkim wyprzedzają i wszystko



Bohumil Hrabal

rozumieją lepiej niż ja. Wiedziałem i wciąż jeszcze mam wobec ludzi różne kompleksy, dlatego jako chłopiec koilem te swoje zahamowania w browarnych łzbach czeladnych, na gumnach, w bednarniach, gdzie rozmawiali ze sobą słodownicy i bednarze, których zawsze słuchałem z taką uwagą, z jaką powinienem był słuchać profesorów w gimnazjum. Już jako uczeń kochałem samotność, zachodzi słońca nad rzeką, ciśnie, przejażdżki łódka, potrafiłem w nocy wyskoczyć na piaski dach słodowni, gdzie kwitł rojnik i mech, potrafiłem długo patrzeć na rozgwiazdzone niebo odbijające się w lustrze Laby, na most i rozświetlone miasto. Dlatego, kiedy szedłem po schodach i gdy miałem wspaniały portal nymburskiego gimnazjum, miałem wrażenie, że jestem w pułapce, że wjechałem do tunelu i dlatego również swój dłuższy pobyt w tym zakładzie urozmaicałem sobie małymi wybrykami, które kończyły się notatką w dzien-

niku, a przez pozostałych uczniów przedstawiane były jako groteskowe historyjki. I nikt nie wiedział, że ja z powodu tych swoich numerów cierpiałem, że się za nie wstydzilem, że zawsze musiałem je ciężko odpokutować. I w ten sposób przeciskałem się z klasy do klasy, po drodze powtarzając czwartą, aż ze zdziwieniem stwierdziłem, że będę zdawać maturę. A przecież wiedziałem, że ten szczelny kłosz niewiedzy stał mi towarzyszy, że moja wiedza jest wciąż niedostateczna. Moja mamusia kazała dla mnie na tę maturę uszyć smoking i tak oto nastąpił dzień którego się najbardziej wstydzilem, ponieważ w smokingu, jako jedyny uczeń siódmej klasy, w smokingu stanąłem przed komisją egzaminacyjną, podczas gdy moi koledzy mieli całkiem zwyczajne świąteczne ubrania. Pisemne egzaminy nie były jeszcze takie najgorsze! Po prostu siedziałem razem z innymi w ławkach, a odpowiedzi poddyktowali mi ci, co siedzieli po bokach i z tyłu, no i trochę też dali mi odośać ze ścianawki... Ale za to kiedy stałem w smokingu jako młody gentleman przed komisją, pot się lał, wręcz parowało ze mnie, tak bardzo się wstydzilem, czułem się taki poniżony, że oto ja, ten najsłabszy uczeń, stoje tutaj w smokingu, podczas gdy moi koledzy są zupełnie spokojni, pewnie dlatego, że mają te zwyczajne niedzielne ubrania. W końcu jednak wykrztusiłem jakąś odpowiedź, która mi za pomocą gestykulacji... zali inni, i w końcu też złożyłem o kupę ogniwo Bunsena. Wciąż jednak miałem w czasie tych egzaminów mocne przeświadczenie, że oblałem, że inaczej po prostu być nie może. Ze spuszczonej oczami, zły potem, nie podniosłem oczu nawet wówczas, gdy przewodniczący komisji oznajmił, że zdałem egzamin maturalny z wynikiem dostatecznym. Przyjmowałem gratulacje z uczuciem hańby, jak coś w rodzaju kondolencji z powodu śmierci w rodzinie. Zatrzymałem się ze swym świadectwem dojrzałości dopiero nad rzeką, a im częściej je odczytywałem, tym mocniej je w to wszystko nie wierzyłem, nawet wtedy, gdy czytali mi rodzice, nawet wówczas, gdy budząc się w nocy sam czytałem sobie świadectwo diagle od nowa... A potem przyszedł bal maturalny na Wyspie w oświetlonej sali i w ogrodzie przy stolikach z białymi obrusami, i gwar romantycznych rozmów, ogłosy śmiechu i radości. A ja byłem w smokingu, mało tańczyłem i dużo piłem, strasznie się pościłem i wstydzilem się, tyle osób na mnie patrzyło, a ja miałem mocne przeświadczenie, że wszyscy szepczą na mój temat, że każdy inny by przy maturze oblał, ale ja zdałem tylko dlatego, że mój tatuś był zarządcą browaru, a poza tym profesorowie pozwolili mi zdać egzamin tylko dlatego, żeby się mnie pozbyć, tylko dlatego, że tatuś, kiedy przepadłem w czwartej klasie i chciałem pójść na murarza, no więc tatuś w pokoju nauczycielskim, a potem w gabinecie dyrektora oznajmił, że maturę zdać muszę, nawet gdybym miał powtarzać każdą następną klasę. I ja

w czasie tego balu, przepociłem nie tylko koszulę, ale i kauczukowy kokietrzyk i marynarkę. Chodziłem więc nieustannie do toalety, nabierałem wody i spryskiwałem się, gdy w tym czasie na sali szalała muzyka i radość. Czuję się tak, jakbym biegł ścieżką hańby, a kiedy zaczęło się rozwidniać i kiedy rozochoceni absolwenci razem ze swymi przyjaciółmi i rodzicami i krewnymi zaczęli rozchodzić się do domów, ja z kilkoma kolegami wybiegłem na taką i tam runęliśmy w kopki siana, położyliśmy się na wznak i obserwowaliśmy niebo z gasnącymi gwiazdami. Leżałem na plecach i słyszałem, jak się przeciągają i stódko wyje tak obgadają mi guziki nie tylko od koszuli ale również jak odpada guzik zawierający pancerz marynarki mojego smokingu, leżałem na plecach w zroszonym sianie, moi koledzy i dziewczyny rzucali na siebie garściami siana, śmiali się bez przerwy, a ich ciała co chwila wpadały w kolejne kopki siana. Kiedy wyjrzało słońce, byłem zupełnie sam, podniosłem głowę pełną żdźbeł siana i zacząłem wyciągać za rękaw ten mój smoking, a potem w czasie drogi do domu, gdy inni ludzie szli do pracy zrozumiałem, że dzięki temu naturalnemu balowi po raz pierwszy rozejrzałem się wokół siebie, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że wprowadziłem szczytny kłosz niewiedzy będzie mi stałe towarzyszył, ale że ja muszę o tym wiedzieć...

PS. Pamiętam, że w piątej klasie szkoły powszechnej, gdy rodzice postanowili, że będę się uczyć w gimnazjum, przy końcu tej piątej klasy zaniósłem swoje świadectwo z kilkoma czwórkami i trójkami dyrektorowi szkoły, żeby złożył swój podpis. Zastukałem do gabinetu, otworzyły się drzwi, a w nich stanął potężny, gruby pan dyrektor. Jego postać wypełniała całą przestrzeń. Wziął świadectwo, podpisał, czekałem chwilę w drzwiach, pan dyrektor wstał od biurka, podał mi w drzwiach świadectwo i żeby się upewnić, zapragnął usłyszeć jeszcze moje ustne potwierdzenie. No więc naprawdę chciesz iść do gimnazjum? Przytaknąłem mówiąc, że naprawdę. Na korytarzu świeciło słońce, a pan dyrektor Polanský ni stąd ni zowąd zdzielił mnie z całej siły w gębę, pchnął mnie lekko swoim brzuchem i z ogromnym hukiem strzelił drzwiami. Myślę, że pan dyrektor Polanský widział całą moją przysłą naukę niczym jasnowidz, ponieważ wkrótce potem w pierwszej klasie gimnazjum, mając oblałem z sześciu przedmiotów, mając przy tym odpowiedni zachowania, więc mój tatuś wywiózł mnie od babci z Brna mówiąc, że równie dobrze mogą sobie repetować w domu w Nymburku, w naszym pięknym gimnazjum realnym...

Z czeskiego przełożył  
Andrzej Babuchowski

# TEATR NIESZCZERY

Małgorzata Ruda

"MARLENA" spektakl, do którego scenariusz przygotowała Aleksandra Domańska, jest klasycznym przykładem tego, że teatr nie umie i nie chce opowiadać. Teatr lubi przeglądać się w lustrze, czarować bon motami o sobie samym. Żyje złudzeniami, że tzw. "kulisy sceny" są nadal najbardziej fascynującym miejscem na świecie. Może i są, ale nie wtedy, gdy za tymi kulisami raz jeszcze delectuje się atmosferą hysterii i pocnieca konfliktem między gwiazdą a reżyserem; gdy wciąż lka się lub chleocze nad kłamstwem zawodu i dramatycznie zakamuje ręce nad spóźniającymi się na próbę artystami. Obyczajowe obrázky z prób — artystka „wstawiona”, reżyser w amoku, lub artystka w amoku, reżyser „wstawiony”, podlane sentymentalnym sosem rodzającego się uczucia i uszlachetnione aluzją ukazującą cza-

sem melodramatycznie, czasem ironicznie zależność między „rolą” a „życiem” aktora — to rzeczywiście temat na popularną i dowcipną sztukę retro. Pod warunkiem, że konflikt, dialog, dowcip zdołają historyjkę uprawdopodobnić — słowem, że dramaturg rzecz opowie sprawnie, nie dając do zrozumienia, że tylko na skutek nieprzychylnych okoliczności dał się namówić do udziału w tak mało ambitnym przedsięwzięciu. Ze banałów i komunalów będzie tam akurat tyle, by wzruszały prostota, a dowcipy odznaczają się przynajmniej względna świeżością. Ze określi się temperamenty postaci i nie pozwoli aktorom przy każdej okazji mrugać i robić oko do konwencji i do publiczności. Słowem taki tekst wymaga dobrze znającego teatr dramaturga, który nie wstydy się robić rzeczy użytkowych i naprawdę

chce napisać prosty i zabawny tekst o miłości i teatrze, lub o teatrze i miłości.

Przyczyną klęski „Marleny” jest nieszczerze realizatorów, brak zdecydowania i niedostatek technicznych umiejętności, raczej dramatycznych zresztą, niż teatralnych.

Reżyserka i autorka scenariusza Aleksandra Domańska nie wie chyba, jakie właściwie przedstawienie buduje. Kusi ją i bulwarówka, i „pisanie na scenie”, i fikcyjna opowieść o skłóconych z sobą, choć zakochanych artystach, i opowieść o tym, jak powstaje spektakl, który właśnie oglądamy. Chciałaby, aby aktorzy prawdziwie opowiedzieli o swych emocjach i zmaganiu z rolami i zarazem uświadomili widzowi, iż są aktorami grającymi aktorów, by wprowadzili spektatorów do garderozy aktorskiej duszy i w konwencję „teatru w teatrze”.

słowem Ona (AGNIESZKA MANDAT) — aktorka i On (MAREK LITEWKA) — reżyser, mają być i prywatni”, i „w roli”. „Wystawiają” recital piosenek Marleny Dietrich, spowiadają się z prywatnych wzruszeń związanych z tą pracą i spowiedź taką udają. Słowem grają, że nie grają i grają granie. W ten nieprosty wątek włączona jest Marlena Dietrich, a właściwie jej młot, który na oczach widzów wyjaśnić mają On i Ona, Agnieszka Mandat i Marek Litewka.

Scenarzystka niczym uczeń czarnoksiężnika rozpetuje kolejny krąg „głębokiej” profesjonalnej tematyki. I opowiadanie o Marlenie Agnieszki Mandat, (a może tylko aktorki z fikcyjnego scenariusza) i Marlenie Marka Litewki (lub może tylko Marlenie reżysera) staje się, a raczej stać się z woli reżyserki powinno — opowiadaniem — tworzeniem własnego teatru. Ona Agnieszki Mandat, a może

Agnieszka Mandat zafascynowana Dietrich, imituje ją i naśladowe. On — Marek Litewka żąda swobody w traktowaniu mitu, niezależności od sztuki, która interpretuje i kreuje samodzielności i odwagi artystycznej. Ponad intelektualnymi możliwościami scenariusza realizatorzy starają się postawić pytanie o kondycję współczesnego aktora, jego smak, wyobraźnię, odwagę. A zaraz potem, na konflikt artystyczny nakładają konflikt emocjonalny, niezbyt jasną z winy scenariusza opowieść o rodzącym się uczuciu niemożliwym do zrealizowania wśród artystycznego piekła, wśród animozji, podejrzeń o udawanie. Więc kiedy Ona jako artystka grająca Marlene, zrozumie nareszcie Jego reżysera i człowieka, gdy stanie się osobą, a nie cieniem mitu, z ich związku pozostanie tylko wspomnienie o realizacji przedstawienia. I mo-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 7)

# Konkurs — zagadka literacka • Zgadnij koteczku, kto to napisał?

**OD REDAKCJI:** Przygotowaliśmy dla Czytelników zagadkę literacką polegającą na odgadnięciu autorów przytoczonych, ponumerowanych fragmentów utworów literackich i krytycznych. Utwory te drukowane były przeważnie w latach 1948—1953 w czołowych wówczas czasopiśmie literackich, a potem często też w formie książkowej.

Zdając sobie sprawę z tego, że Czytelnicy, zwłaszcza młodszy, mogą natrafić na spore trudności, w niektórych wypadkach ułatwiliśmy im zadanie i podaliśmy tytuł utworu lub miejsce jego druku.

Oczywiście mogliśmy wybrać podobnych fragmentów nieporównanie więcej, byłoby to jednak zbyt nużące. Niegdyś, pisane ze śmiertelną powagą, teksty te mogły się wydawać nawet groźne, dziś czytamy je co najwyżej ze zdumieniem, ale częściej — ze śmiechem.

Dla zwycięzców konkursu przygotowaliśmy nagrody książkowe. Termin nadsyłania odpowiedzi — 1 maja, rozdanie nagród — do 22 lipca.

1.

## LIST DO STALINA

Twoja dłoń na mapie,  
z Bugu, przez Wisłę na Szczecin  
kreśliła czerwone strzały  
którymi wolność nadsięgnie.  
Twój to nam kraj dał najpierw:  
sny niezmaczone dzieciom,  
sądom rumieniec dojrzały,  
pociągom zielone ognie.

2.

## O STALINIE

(W 70. rocznicę urodzin)

„Mówiąc o Stalinie pragnę podkreślić z naciskiem to, co już mówiłem i pisałem niejednokrotnie. Stalin jest największym obrońcą pokoju.

Jemu zawdzięcza Związek Radziecki siłę i spójność, a ta siła zabezpiecza pokój świata. Powtarzałem to już niejednokrotnie, że cywilizacja możliwa jest tylko w oparciu o ustrój komunistyczny. Tylko ten ustrój zabezpiecza pokój. (...) Powtarzam, jestem swojennikiem Stalina”.

(Z wywiadu umieszczonego w „ODRODZENIU”)

3.

Pisma Józefa Stalina tworzą i stanowią ścisłą historię tej epoki. W zbiorze rozkazów z ostatniej wojny, w studiach, przemówieniach i pismach polemicznych znajdujemy sformułowanie całości zagadnień zamionujących tę „nową erę”. Są one zarówno dla rządu jej świadomości, jak dokumentem kształtujących ją decyzji. Zawierają też jej oczywistą, dotykającą filozofię — jej filozofię pisaną samą rzeczywistością.

4.

(...)

Zniażdżona okrutnie Warszawa  
dźwiga swe okrwawione cegły tym  
szybciej z imieniem STALINA.

Wszędzie na świecie, gdzie sięga  
przemoc pieniądza, bagnet żoldaka i  
pałka policjanta, ludzie walczą i będą  
zwyciężali z imieniem STALINA. Setki  
milionów ludzi wołają: STALIN!  
STALIN! STALIN!

(...)

myśli wyprzedzą czyny,  
czyny legną epoką...  
Chwała imieniu Stalina!  
Pokój światu, pokój...

(Dla ułatwienia: tytuł wiersza — „SŁOWO O STALINIE”)

5.

## KWESTIONARIUSZ

Cóż w kwestionariusz wpiszesz  
wtedy  
jeśli ci będzie przedłożony:  
„czyś patrzył przez judasze kiedy,  
a jeśli tak — to z której strony?”

## ZEMSTA

Pierwsi za byle epigramat,  
wsadzają drugich do kazamat,  
my pierwszych zaś za kazamaty  
na wieczny srom — w epigramaty

Chce do Związku ofiar wojny.  
Stracił szpicla byt spokojny.

Za sto lat może poety wnuk  
z potomkiem cenzora się zgada.  
Ciekawym, których z nich będzie  
mógł  
do swego przyznać się pradziada.

6.

Obraz ułamkowy jest obrazem fałszywym. Patrzeć na buty i mówić o charakterze człowieka to znaczy być jasnowidzem. A ja w jasnowidzów nie wierzę. Dlatego nie wierzę Czesławowi Miłoszowi mówiącemu o stanie polskiej poezji. Dlatego nie wierzę Jastrunowi, gdy narzeka na „gazetowy” charakter wierszy młodych poetów. (...) W tym czasie, gdy Woroszyński pisał swój poemat o Jarosławie Dąbrowskim (nie ukazała się ani jedna recenzja) — Czesław Miłosz zamieścił w „Twórczości” dekadentki, nihilistyczny poemat „Traktat moralny”. Kiedy Broniewski pisał swój wspaniały wiersz „Pięćdziesiątka” — Czesław Miłosz zajęty był „rozszerzaniem zainteresowań polskiej poezji poza kredowe koło”, jak pisze w swym artykule, przez tłumaczenie wierszy herolda wojny atomowej Eliota.

(Tytuł: „FAŁSZYWY OBRAZ”)

7.

Revolucja socjalistyczna, którą przeżywamy, umożliwia sporej części naszej inteligencji twórczej porzucenie dotychczasowych pozycji burżuazyjnych i zapoczątkowanie procesu wewnętrznych przeobrażeń światopoglądowych, który — rozwinięty w pełni — umożliwi naszym twórcom konsekwentne przejście na tory twórczości socjalistycznej.

(Tytuł: „ŹRÓDŁA NATCHNIENIA TWÓRCZEGO”).

8.

## PIEŚŃ TRAKTORZYSTÓW

Nasze konie  
nie jedzą siana —  
nasze konie  
naftę u pomp piją.  
Cóż, że siodło blaszane,  
gdy się ziemia pod plugiem  
wieloskibnym jak pieróg zwiąja?  
(...)

9.

(...) Krytyka radziecka uczy nas nowego stosunku do zagadnienia dyskusji wśród marksistów. Dyskusja o literaturze wojennej, w której wytknięto szeregowi pisarzy odchylenia marksalistyczne, dyskusje o sztukach Sofronowa, o „Młodej Gwardii” Fadiejewa, o „Daleko od Moskwy” Ażajewa wskazują nam, że główny front spo-

## PARTIA



ród literackich — to walka o ideologię, że odbicie formalne jest zjawiskiem wtórnym. W tej walce o ideologię naszej prozy walnym sprzymierzeńcem będzie literatura radziecka.  
(...)

10.

(...) Ale dlaczego te rozkazy, które księża wydają, a są niby od Boga, służą kapitalistom, bogaczom i dziedzicom. Ksiądz zdenerwował się. Wreszcie zaczął mówić o polityce. Zaatakował spółdzielczość.

— Boli onego spółdzielnia — mówiła Iskrowa — nie chce do tego dopuścić, bo sam jest jako kapitalista... Chwyta się takich rzeczy... Wodniaka przestraszył piekłem, albo mu i co obiecał... Ale piekło to może być na ziemi, tutaj... W zależności od ludzi... Kapitaliści urządzili piekło dla robotników. A my spółdzielnię produkcyjną założyliśmy — powiedziała na zakończenie — żebyśmy lepiej żyli i żeby nikt nie straszył naszych dzieci piekłem na ziemi, ani po śmierci.

Ludzie klaskali. Maryśka pochylała się do Kamionki i do Niedźwiedzia; podnieśli się wszyscy zza stołu i Niedźwiedź zaintonował: „Wyklęty powstań ludu ziemi...”

(Fragment powieści)

11.

(...) W Krakowie dużo pisze i dużo drukuje w „Tygodniku Powszechnym” i w „Przeglądzie Powszechnym” o. Jezuitów” prof. Władysław Konopczyński (...) są one tak dalece typowe (jako „skrajnie fideistyczne” — przyp. Red.), że mogłyby być podręcznym materiałem źródłowym w studiach nad reakcyjną filozofią historii, nad klasowym sakramentem burżuazyjnego obiektywizmu, jego „ponadklasowości”, „apolityczności” itd. (...)

12.

(...) Jest obowiązkiem naszej publicystyki piętnować wroga klasowego, który ukrywa się za maską „naukowości” i obiektywizmu. Zajęci własnymi sprawami zbyt mało uwagi zwracaliśmy na działalność ideologów burżuazji, zwłaszcza w dziedzinie nauk humanistycznych.

(Fragment felietonu w „NOWEJ KULTURZE”)

13.

(...) Socjalizm, komunizm — to humanizm naszej epoki i wielu stuleci przyszłych. Przeciwdstawiam się wojnie w imię tego humanizmu.

(Z jednolówki ZLP „PISARZE WALCZĄ O POKÓJ”)

14.

(...)  
Niejeden ojciec w murach padł  
Niejeden stracił syna  
Lecz z gruzów na ogromny świat  
Grzmiał okrzyk: „Za Stalina”

Czuwa skupiona, czujna myśl:  
Niech pokój trwa na świecie!  
Jak wtedy — słychać kroki dziś  
W kremłowskim gabinecie.

(Z „POEMATU O STALINIE”)

15.

Gdy bankier, zbrodniarz,  
szpieg i speaker  
Z Londynu, Rzymu i Ameryki  
Podnosi leń i głośnym krzykiem  
Zwiastuje przyście nowej ery  
(...)  
Patrzmy mu na krwawe ręce  
Niech wie, niech czuje niespokojny,  
Ze jest nas więcej, więcej, więcej  
Przeciwko wojnie!

(Tytuł: „PRZECIWKO WOJNIE”)

16.

(...) Od nauki radzieckiej winniśmy nauczyć się postępowej ideologii naukowej i nieublaganej konsekwencji metodologicznej — podstawowego warunku wszelkiej prawdziwej nauki. Musimy nauczyć się także stylu bezkompromisowej dyskusji i krytyki naukowej, bo jak mówi Lenin: „Ludzie istotnie przeświadczeni, że posunęli naukę naprzód, żądali by nie wolności istnienia nowych poglądów obok starych, lecz zastąpienia starych przez nowe. (...)”

(Tytuł: „PRZYKŁAD LITERATUROZNAWSTWA RADZIECKIEGO”)

17.

Czy wiecie ile  
lat musiałby mieć Chrystus  
na przykład,  
by widzieć, jak wychowanie  
socjalistyczne  
wyrabia towarzyszy bliźnich  
z „ludzkiego bydła”?  
Otóż tysiąc dziewięćset osiemnaście!  
A ile musiałby czekać potomek  
aby  
dozreć pierwszego roku planu  
szczęśliwiego?

(Tytuł: „CO ZA NOC TO! 1950”)

18.

(...) W epoce realizmu socjalistycznego filozofia marksizmu jest orzechem, bez którego socjalistyczny pisarz nie może się obejść. Nie może zwłaszcza wtedy, jeżeli, jak to często bywa z pisarzami o mieszczańsko-inteligentnych kompleksach, na drodze jego rozwoju twórczego stoi nieprzewyciężona, zakorzeniona w nim i rozbrajająca go filozofia wrogiej klasy społecznej. W wypadkach tego typu jedyną drogą dla pisarza jest ściślejsze związanie się z jedyną dzisiaj twórczą ideologią rewolucyjną i praca nad jej pogłębieniem (...)

(Z recenzji o „PAŁECZCE”)

19.

(...)  
Nie jeden jeszcze wróg przed  
nami

# • Konkurs — zagadka literacka • Zgadnij koteczku, kto to napisał?

Nie jeden ból i trud i czyn.  
Ale pół świata idzie z nami,  
Pod czerwonymi sztandarami  
Radzieckich braci, braci z Chin.  
(Ostatnia zwrotka wiersza)

20.

(...)  
Synowie Rewolucji! O sercach Dwóch  
wodzów najmdirszych,  
Co was wywiedli na słońce z ciemnoty,  
krzywdy i jaskiń — śpiewam

Wznoszę tę pieśń, jak puchar: za  
Naród Stu Narodów!  
O tobie, wschodzie słońca, o tobie,  
słońce Wschodu — śpiewam.

21.

III.  
„Rewolucja — parowóz dziejów” —  
Chwała jej maszynistom!  
Cóż, że wrogie wiatry powieją?  
Chwała płonącym Iskrom!

Chwała tym, co wśród ognia i mrozu  
jak złom granitowy trwali  
jak wcielona wola i rozum,  
jak Stalin.

„Pokój, pokój, pokój!  
Pokojem oddycha świat.  
Ty go strzeżesz, opoko,  
Związku Republik Rad.

22.

Mądrość Stalina  
rzeka szeroka  
w ciężkich turbinach  
przetacza wody,  
płynąc wysiewa  
pszenicę w tundrach,  
zalesia stepy,  
stawia ogrody.

W gmachu imperium  
strop się ugina:  
pękła kolumna.  
Wstępuje z głębin  
mądrość Stalina  
rzeka podskórna.

rzeko rozumna,  
ty wiejesz zdrowiem,  
wiatrem urody;  
przebijasz góry,  
rzeko podskórna,  
łączysz narody.

23.

Miękkość w robocie rewolucyjnej  
przynosi klęskę.

Niechaj tnie ostro miecz rewolucji  
aż do zwycięstwa.

Niech się obnaży przed okiem klasy  
nikczemność wroga.

Niech wyjdzie z mroku na światło  
dzienne  
hydra stugłowa.

Wola człowieka, dzieło człowieka,  
życie człowieka.  
Stalin powiedział — to wieczny  
płomień  
Wolność po wiekach.

(STALIN NAZWAŁ DZIERŻYŃSKIEGO  
WIECZNYM PŁOMIENIEM. JEST  
TO VI CZ. POEMATU)

24.

Konferencja pracowników twórczych  
polskiego teatru miała miejsce w do-  
niosłym momencie historycznym. Wal-  
ka przeciwko amerykańskiej agresji,  
walka ludzkości o pokój stała się dziś  
zagadnieniem całych narodów, ich wol-  
ności oraz ich przyszłości. W przeci-  
wieństwie do historii wojennej podżę-  
gaczy imperialistycznych, Związek Ra-  
dziecki, państwa demokracji ludowej  
i nasz kraj pochłonięty jest twórczą  
przebudową swoich podstaw gospodar-  
czych i społecznych. Plan sześcioletni  
stał się dla nas wytyczną i metodą  
działania. Nim żyje cały naród. On  
rozpala nasze serca i określa nasze  
obowiązki. (...) W tej walce miejsce  
teatru i ludzi teatru jest po stronie  
oboju postępu, socjalizmu i pokoju.  
(PROBLEMATYKA WSPÓLCZESNE-  
GO TEATRU)

25.

Tym wszystkim lśni czerwona gwiazda  
W jakże głęboką noc, wśród jakiej  
burzy  
w ciemności zapierającej dech,  
wszystkim, którzy zablądzi na morzu,  
lśni czerwona gwiazda.

O szczęśliwa przewodniczko, gwiazdo  
stalinowska.  
Oto człowiek, który zapala gwiazdę,  
strażnik nieba i ziemi  
urodzony dla ratowania tonących

Wyrwał mnie z domu niewoli,  
zasiał las na pustyni,  
zbudował Dnieprostrój

piekło zamienił w niebo,  
wezwał nędzarza na Kreml,  
oposił koniec żelaznego wieku.

W dzień powszedni ubiera się  
skromnie.  
(Fragment poematu)



26.

(...)  
za wolność robotników i chłopów,  
za ziemię zasianą łzami,  
za to, by młodzik Wania  
za pan-brat był z książkami,  
za księżycowe zboża,  
za chleb, za kryształ wiatru,  
za Związek Republik Rad  
za Polskę —  
do ataku!

Towarzyszu Rokossowski,  
rzetelny spełniacie czyn —  
o nim w dalekiej ojczyźnie,  
o nim historia pisze  
poemat robotnikom polskim.

(...)  
Rozkaz:  
zdobycyśmy Warszawę.  
Rozkaz:  
bierzemy Berlin.  
Daleką drogą do Polski  
prowadzi za rękę wolność  
Marszałek Rokossowski.

(Fragment poematu)

27.

(...)  
Tu mówi Nowy Jork! Słyszycie Głos  
Ameryki!  
Głos tej Ameryki, co świat dolarem  
mierzy,  
Ameryki giełdźiarzy, łgarzy  
i szalbierzy,  
Ameryki bezprawia, chamstwa  
i ucisku,  
Ameryki gangsterów żądnych krwi  
i zysku,  
Ameryki grożącej pałazem Goliata,  
Ameryki zbrodniczych podpalaczy  
świata  
Którzy głoszą, że wojna ludzkość  
uszlachetni.

My — walczymy o pokój. Plan nasz —  
sześcioletni.  
(Tytuł: „GŁOS AMERYKI”)

28.

(...) Nie będę tu obszerniej powtarzał  
znanych i słusznych definicji określa-  
jących formalizm jako produkt i obraz  
rozkładu społeczeństw imperialistycz-  
nych. Treściom rozkładowym, takim  
jak katastrofizm, kontemplacyjny este-  
tyzm — nasza inteligencja twórcza  
przeciwstawiła się zdecydowanie, łą-

cząc się z pracą i walką klasy robot-  
niczej. (...) nowe socjalistyczne widze-  
nie rzeczywistości ukształtować się mo-  
że w bezpośrednim, nieustającym ataku  
na tę rzeczywistość, który malarz prze-  
prowadza równoległe do walki o zdo-  
bycze polityczne, techniczne czy gospo-  
darze, utrwalające zwycięstwo socja-  
lizmu. (...)

(Tytuł: „WIĘCEJ ODWAGI”)

29.

.....  
Śpiewam o Polsce Ludowej  
o leżącym na jesiennych liściach,  
śpiewam pieśń o walce klasowej  
o miłości i nienawiści;  
(...)  
Czujnij, towarzysze,  
czujnij,  
dotrzymajmy epoce kroku  
i pod skórą legitymacji  
trzeba umieć wymacać wrogów.  
(...)

(Fragment poematu „DZISIAJ”)

30.

(...) Biskup Kaczmarek przyznaje się  
do winy. Nie próbuje zaprzeczać; czło-  
wiek zdolny i inteligentny bez trudu  
rozumie, że wobec sporej ilości dowo-  
dów rzeczowych trudno wykręcać się  
sianem. Rozumie dobrze, że przegrał  
swą stawkę. Biskup Kaczmarek stanął  
przed zagranicznym dłań sądem. Na  
tej sali jest on obokrajowcem, cho-  
ciaż na pytania prokuratora odpowiada  
po polsku. Polska była dlań koloni-  
ją; mieszkając w kieleckim pałacu bi-  
skupim wykonywał wolę swojej ojczy-  
zny, swego dominium — Watykanu.  
Zeznania jego są gęsto przetykane na-  
zwiskami kardynałów watykańskich,  
nuncjusów apostolskich, w zeznaniach  
tych rysuje się spoisty gmach pań-  
stewka, którego był wiernym synem,  
dla którego siadł z hitlerowcami do  
rozmów przy jednym stole. Nawet in-  
stytucja, gdzie przekazywał siostram  
zakonnym raporty szpiegowskie dla  
Amerykanów, także nazywała się —  
Roma. (...)

(Z reportażu drukowanego w „NOWEJ  
KULTURZE”)

31.

Kto pierwszy zameldował o tych  
ułotkach po czesku w naszej wsi? —  
Micha. — Micha? — Rozmowa toczy-  
ła się w samochodzie. Mineliśmy Słom-  
niki (...). Przyniósł te ułotki i powie-  
dział: dawniej nie wierzyłem, że Ame-  
rykanie zrzucili w Czechosłowacji i  
Polsce stonkę ziemniaczaną, teraz wie-  
rzę. Czymże onj nas chcą znów zara-  
zić. Zebyśmy się krwawili? Nie, nie.

(Tytuł: „OPOWIADANIE O ULOT-  
KACH”)

32.

(...) 1 września 1950 naród pol-  
ski, reprezentowany przez swój  
Kongres Obrońców Pokoju, czuje  
się częścią olbrzymiej, po raz  
pierwszy w takiej skali i tak wi-  
domie zjednoczonej potęgi poko-

jowej ludów, skupionej dookoła  
przodującego w pracy i walce  
Związku Radzieckiego i jego umi-  
łowanego wodza, Józefa Stalina.

(Tytuł: „COŚ SIĘ ZMieniło NA  
SWIECIE”)

33.

(...) To właśnie formalizm i jego od-  
miana naturalistyczna narzuca kosmo-  
polityczną manierę twórczą, niszczy  
profil narodowy, zabija indywidual-  
ność. Natomiast realizm socjalistyczny  
przywraca twórczą godność artysty,  
zwraca mu własny warsztat twórczy  
i czyni artystę własnością narodu. I to  
jest siła twórczej metody sztuki socja-  
listycznej, siła ustroju wyzwającego  
człowieczeństwo w człowieku, siła je-  
go poznania i wielkość jego osobowo-  
ści w społeczeństwie wolnego świata,  
świata triumfu pokoju i socjalizmu.

(Końcowy fragment tekstu pt. „O  
TWÓRCZEJ METODZIE SZTUKI RA-  
DZIECKIEJ”)

34.

Piąty marzec 1953 roku głęboko za-  
padł w serca wszystkich, którzy ko-  
chali Józefa Stalina. Wśród nich nie-  
przeliczone rzesze stanowiły dzieci. Do  
redakcji pism dziecięcych tysiącami  
płynęły listy świadczące o przeżyciach  
dzieci w dniach żałoby po śmierci ich  
Przyjaciela (...). I wtedy właśnie uka-  
zały się najpierw fragmenty, a w ślad  
za nimi cała książka Heleny Bobiń-  
skiej o dziecięcych i szkolnych latach  
Stalina — „Soso” — książka jak naj-  
potrzebniejsza (...). I książka całkowi-  
cie pionierska, bo o ile mi wiadomo,  
nawet Związek Radziecki nie posiada  
jeszcze dotąd powieści dla dzieci o  
Stalinie (...).

(Recenzja ukazała się w „NOWEJ  
KULTURZE”)

35.

(...) Półtora roku temu nasz Zjazd  
szczeciński proklamował realizm socja-  
listyczny jako twórczą metodę pisar-  
ską — metodę nie tylko widzenia i wy-  
jaśniania, ale i przeobrażania rzeczy-  
wistości przez pisarza. Proklamacja ta  
wraza coraz głębiej w naszą świadom-  
ność — i ona to wyznacza jedno z na-  
czelnych zadań Związku. Główny nurt  
życia związkowego i najistotniejsza ro-  
la związkowego kierownictwa musi  
polegać na rozwijaniu w środowisku li-  
terackim pełnej wiedzy postawy i świad-  
omości pisarza-realisty i kolektywnej  
odpowiedzialności za socjalistyczne bu-  
downictwo na odcinku literatury (...).

(Tytuł: „O ROLI I ZADANIACH  
ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH”)

36.

Póki słońce wschodzi — życie nie  
zaginie.  
Tyś dla nas nie umarł towarzyszu  
Stalinie.

Placcie prawdą okrutną w ten  
żałobny czas.  
Umarł Stalin. Umierał jakby każdy  
z nas.

Placcie prawdę okrutną zwykłych  
ludzkich spraw.  
Umarł Stalin. Nie umrze żadna z Jego  
prawd.

Póki słońce wschodzi — żadna z nich  
nie minie.  
Dla nas nie umarł towarzyszu  
Stalinie.

Przed nami komunizmu przyszłość się  
rozwiera.  
Idziesz z nami dalej. Partia nie umiera.

(Tytuł: „IDZIESZ Z NAMI DALEJ”)

# Eugenia Ginzburg, czyli wiersze

## o ciszy

Bogdan Rogatko

W „Czytelniku” ukazały się w tym samym czasie dwie bardzo bliskie sobie tematycznie, ale podobne również w wymowie książki: Aleksandra Weissberga—Cybulskiego „Wielka czystka” oraz Eugenii Ginzburg „Stroma ściana”. Weissberg pisał swoje wspomnienia na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, w wolnym kraju, mógł więc już z dystansem komentować fenomen szalejącego w Związku Radzieckim despotyzmu i podać swoją wersję genezy fałszywych zeznań, jakie składało w czasie tzw. procesów moskiewskich wielu zatrzymanych. Zdaniem niemieckiego naukowca główną przyczyną takich zeznań było po prostu psychiczne załamanie się w sytuacji bezwzględnej przemocy, był Wielki Strach. Tak też ujmuje problem Eugenia Ginzburg, która jednak nie

straciła nigdy, przez cały czas więziennego piekła, wiary w człowieka. Obydwu autorom wspomnień ta wiara pozwoliła jako nielicznym oprzeć się organom śledczym i nie przyznać się do win niepopelnionych. Tyle tylko, że Weissberg został w końcu deportowany do hitlerowskich Niemiec, a Eugenia Ginzburg rozpoczęła dalszy etap swej drogi przez mękę — wysłano ją do łagru. Aresztowana na początku roku 1937, a więc w okresie, kiedy jeszcze nie przekraczano w śledztwie granicy okrucieństwa, spędziła w więzieniach i łagrach stalinowskich 18 lat. Pierwsza część jej wstrząsającej relacji napisana została na początku lat sześćdziesiątych i stała się jedną z najgłośniejszych książek, najpierw w Niemczech, potem w Stanach Zjednoczonych. Popularność jej wzmacniał fakt, że autorka była

matką znanego pisarza emigracyjnego Wasilija Aksjonowa, którego proza przetłumaczona została również w Polsce.

Ale jej książka to nie tylko jeszcze jedna relacja mówiąca o gehennie rosyjskiego narodu poddanego represjom totalitarnego systemu, to również, a może przede wszystkim książka o potrzebie poezji!

„Znów rozmyślałam o tym, jak objawia się człowiekowi słowo pisarza w tej nieczym, nie zmaganej koncentracji ducha, jaką mu ofiarowuje więzienie. Nigdy nie kochałam ludzi tak bardzo, jak właśnie w tamte miesiące i lata, gdy oddzielona od nich kamiennym murem, wtrącona do królestwa nie-ludzi odbierałam każde zdanie pisarza jak depechę z dalekiej Ziemi, mojej ojczyzny, mojej matki, z tej Ziemi, na której żyli i żyją moi bracia — ludzie.

Nawet najbardziej oklepany wiersz Niekrasowa stawał się teraz wzruszającym przestaniem od dalekiego przyjaciela.”

Autorka początku nie miała żadnego dostępu do książek, była też przez długi czas pozbawiona towarzystwa, ze współwzięniami mogła się kontaktować tylko przy pomocy „wystukiwania”. Kontakt ze światem zastępowała jej przypominana sobie poezja, recytowane na głos, półgłosem lub w myśli wiersze, a także wiersze układane, tworzone, choć nie zapisywane.

„Cóż więc mi pozostaje! Wiersze... tylko wiersze! Własne i cudze... Krąże po celi, chodzę tam i z powrotem, odmierzając swoje pięć kroków i mozolnie układam wiersz: Nie wysilaj się, nie wyrokuj,

Tu jest kres wszystkich dróg i krzywd,  
Choćbym tysiąc zrobiła krcków,  
wciąż wychodzi mi:  
pięć na trzy...”

Wiersze proste, najkrótsze i najłatwiejsze do zapamiętania. A pamięć miała niezwykłą. Gdy przestała być w izolacji, gdy dzieliła już celę ze współtowarzyszką, a potem gdy dniami całymi jechała w przepelnionym wagonie do obozu, dzieliła się tym swoim skarbem z innymi więźniarkami. Był to doprawdy skarb niezwykły. Jego wartość rosła w sytuacjach krańcowych, takich np. jak karcer. Albo bezsenność. Układane w myśli wiersze były wierszami o ciszy. Tej nabrzmiałej tęsknotą i bólem, która nie przerywana poezją mogłaby doprowadzić do obłędu!

Cichną szakale harce,  
Milknie żołdacki krok...  
Oto podziemny karcer:  
Kamień. I ziab. I mrok.

Budzi się w sercu jasność,  
Niechże tu wtargną sforą,  
Mam jeszcze coś na własność,  
Czego mi nie zabrają!

EUGENIA GINZBURG: „Stroma ściana”, przełożył Andrzej Mandalian, „Czytelnik” 1990.

# O wierszach ojca Mieczysława

## Bednarza SJ

Zofia Zarębianka

W rodzinie księży-poetów trzeba serdecznie powitać o. Mieczysława Bednarza, który pisząc przez całe życie, dopiero niedawno zdecydował się ujawnić część swego poetyckiego dorobku. Tom „Pogódź mnie z ziemią” wydany w systemie małej poligrafii, w niewielkim nakładzie, zbiera wiersze z lat kilkudziesięciu, o różnym klimacie i różnej tematyce, grupując je w dziewięć, nierównych wielkości działów.

Część pierwsza zatytułowana „Tu, ale nie stąd” zawiera wiersze przesycone pełną napięciem oczekiwaniami tęsknotą za Bogiem, z wielką prostotą relacjonujące doznania niewyraźne. Sporo tu także utworów wyrażających pokorne i radosne zaufanie do „utajonej we wszystkim Obecności”. Przewodnią myślą wierszy zebranych w tym dziale mogłoby być wezwanie „Marana Tha, Przyjdź, Panie Jezu”. Uderzające jest, nie tylko zresztą w tej części tomu, zakończenie modlitewnej refleksji w urodzie światła. Posługując się tytułem jednego z wierszy powiedzieć można, że jest to „poezja wcielenia”.

Poezja, w której świat nie jest przeszkodą w chwaleeniu Pana, ale razem z autorem zanoszą modlitwę uwielbienia, wyspiewując ją swym istnieniem i swym pięknem. „Nie wierzę tym, którzy ganią / / czar ziemi i słodycz nieba”, pisze o. Bednarz w poetycki sposób zapisując doświadczenie contemplatio ad amorem św. Ignacego, podług której należy

„młować Boga we wszystkim, a wszystkie stworzenia w Nim”. Duch ignacjański unosi się nad wierszami nie tylko tego działu, panuje nad całym tomem, nadając mu pewną zwartość, mimo wielkiej różnorodności i bogactwa, tak tematycznego, jak i stylistycznego.

Część druga nosi tytuł „Naręcza marzeń i zamyśleń”, łączy się nastrojem i problematyką z kolejną, zatytułowaną „Smutki”. Dominuje tutaj refleksja egzystencjalna, podporządkowana zgodzie na przemijanie i na przyjmowanie wszystkiego, co niesie życie z dystansem, spokojem i miłością, gdyż wszystko pochodzi z ręki Boga:

Przyjmuję wszystko —  
Ciebie i cały Twój świat.  
Chcę kochać wszystko —  
Ciebie i cały Twój świat.  
Dziękuję Ci za wszystko —  
za Ciebie i za Twój świat.  
Zacytowany fragment umieszczony został w kolejnej części, nazwanej „Pogódź mnie z ziemią”, ale mógłby się znaleźć i w poprzedniej, jako jej podsumowanie.

W tej właśnie części, czwartej, silnie zaznacza się wspomniany przeze mnie zachwyt pięknem świata. Najczystszy motywem, budującym liryczny pejzaż są tu jeziora i drzewa. W wierszach tego działu słychać też nieraz zauroczenie m. in. Konstantynem.

Utwory kolejnego działu poświęcone są dzieciom. Dużo tu nuty tkliwej i lirycznej, niudy jednak nie przechodzącej w przesłodzona czu-

lostkowość, dużo ciepła i bałkowości. Ta ostatnia uwidoczniła się zwłaszcza w dwóch tekstach, w Gońcu z Bajkistanu oraz w Śnie.

Część szоста przynosi garść wierszy autotematycznych, nieraz gorzkich, a zarazem lekko ironicznych, jak ten, pod tytułem „Taki los”.

Leżą w szufladzie moje wiersze, leżą  
Jak umarła dziewczyna pod murawą świeżą,  
Proch je okrywa jak jesienią liście  
I zapomnienie osnuwa je mgliście.

Część siódma powraca do refleksji egzystencjalnej, co sugeruje opatrzący ją tytuł: „Dokonanie”. Wszelkąd panuje tutaj myśl o śmierci i w jej perspektywie toczą się wspomnienia niełatwego życia, naznaczonego więzieniem i sowieckim łagrem i tułaczką. Utwory tej części książki są najbardziej, w bezpośredni sposób autobiograficzne, a ich liryzm, pogłębiony o ton tragizmu zyskuje walor niezwykle przejmujący.

Wiersze czasu tułaczego, z okresu pobytu w Libanie grupuje następny dział, przesycony egzotyką Wschodu — Libanica. Znajdujemy tu wiersze pisane w latach czterdziestych, dyktowane wdzięcznością za wyprowadzenie z domu niewoli i nie gasnącym podziwem dla piękna libańskiej przyrody, ale przecież także i tęsknotą za rodzinnymi krajobrazami. Ot, choćby jak w tym wierszu, stylizowanym na rzewliwą, góralską piosnkę:

Sanninie, Sanninie!  
(Ranna mgła się zniżyła)  
Oj, nie mogę zapomnieć  
Na Giewoncie krzyża.

szach starszych, tradycyjny model wiersza, z rymem i rytmem, odwołujący się niejednokrotnie do wzorca skamandryckiego. Siła tych wierszy nie tkwi w nowatorstwie formy, ale w jakości lirycznego przeżycia, jego autentyczności i szczerości. Poezja ojca Bednarza to poezja pisana życiem i sercem. To również poezja łagodnego uśmiechu, zdradającego często poczucie humoru. Jest to poezja żywa, przemawiająca do czytelnika prawdą i mądrością. Czytając te wiersze czujemy się zaproszeni do współuczestnictwa w Dobru, czujemy się ogarnięci spokojną dobrocią. Ta poezja daje nam szansę stania się lepszymi. Dlatego z niecierpliwością będę oczekiwać na następny tom, te wiersze nie mogą pozostać w szufladzie. Jak najprędzej trzeba je wydać.

MIECZYSLAW BEDNARZ SJ, Pogódź mnie z ziemią, Kraków 1989.

## KOMUNIKAT

Uchwała Nr XIV/103/90 Rady Miasta Krakowa ustanawia nagrody Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa w dziedzinie kultury i sztuki. Nagrody stanowią wyróżnienie wybitnych osiągnięć w zakresie twórczości literackiej, teatralnej, muzycznej, plastycznej i filmowej oraz w dziedzinie działalności kulturalnej w Krakowie, a także w zakresie upowszechniania krakowskiej kultury i sztuki w kraju i za granicą.

W roku bieżącym nagrody przyznawane będą za osiągnięcia w roku 1990.

Wnioski wraz z kompletem dokumentacji prosimy składać w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Krakowa, plac Wszystkich Świętych 3/4, II p., pok. 260 do dnia 20 kwietnia 1991 roku. Wydział udziela również wszelkich informacji w powyższej sprawie (tel. 16-14-61, 22-59-57, 22-49-95).

prezydent KRZYSZTOF BACHMIŃSKI

# Milczące sejfy Szwajcarii (V)

Jean Ziegler

Tajemnice bankowe, podsłuch, bankructwa firm, afery w sferach rządowych Szwajcarii — o tym traktuje głośna na Zachodzie książka Jeana Zieglera, której kolejny fragment prezentujemy Czytelnikom. Tłumaczył Stanisław Mędek.

Fortuna jednak kołem się toczy. Tak właśnie dzieje się w spółce Trans KB, założonej przez cheiwa Koppa i małego emirka J. Ernsta w 1979 roku. Spółka ta specjalizuje się w inwestycjach o wysokim stopniu ryzyka. Jej działalność polega na gromadzeniu wpływów od małych średnich ciulaczy w zamian za przyrzeczenie ogromnych dywidend i bająskich procentów. Biznes kręci się przez trzy lata. W 1982 roku działalność spółki kończy się całkowitym bankructwem. Długi spółki sięgają 12 milionów franków szwajcarskich. W ciągu trzech lat działalności Trans KB ściągła od klientów ponad 40 milionów franków.

## Krach spółki

Błyskotliwy dyrektor Trans KB przyjmuje cios ze stoickim spokojem. Nie żałuje niczego i niczego nie ukrywa. Z przyjemnością i uśmiechem przedstawia przed prasą, przed sędziami swe awantury nieszczęśliwego kapitana, który znalazł się ze statkiem na wzburzonym morzu. Oskarżając zło siły, przyrzeka zwrot wkładów. Awanturnicy lubią przecież awantury. Czasami warto podjąć ryzyko. 9 lipca 1989 roku sędzia śledczy z Zurychu, Albert Ochsenbein, przekazuje akta sprawy prokuraturze. W kilka miesięcy później prokuratura oskarża Koppa i Ernsta o oszustwa i fałszowanie dokumentów.

Obracanie pieniędzmi w Szwajcarii jest traktowane z olbrzymim szacunkiem i powagą. Od wieków czynności takie, jak: gromadzenie, przeliczanie, przechowywanie, spekulowanie i kamuflowanie pieniędzy, odbywają się w majestacie prawie ontologicznym. Nie sposób więc wyrażać się krytycznie na temat tak szlachetnego zajęcia. Spełniać się ono może jedynie w zadumie i absolutnej ciszy.

Opatrnościowa informacja przekazana mężowi przez Elisabeth Kopp mogłaby pozostać tajemnicą. Oczywiście jest to, że czasami rozechodzą się pogłoski. Niezwykła zaleta Helwetów — zdolność trzymania języka za zębami — nieprzekazywanie tego, co mogłoby zaszkodzić publicznemu kłamstwu, ochrania panią minister. Z początkiem grudnia większością głosów głuchych i ślepych konserwatystów, zasiadających w parlamencie, Elisabeth Kopp wybrana zostaje na wiceprezidenta Rady Federacyjnej.

W hotelu Schweizerhof w Bernie odbywa się bankiet będący przedłużeniem tryumfalnych grudniowych wyborów. Przed rozentuzjzmowanymi popiecznikami — śmietanką helweckiego świata polityki (prawica), biznesu i finansów — Elisabeth Kopp wygłasza wzruszającą mowę, opiewającą jej jakże niezwykłą walkę w obronie praworządności, a skierowaną przeciwko wywrotowym knożnikom organizacji lewicowych.

## Waszyngton wyraża oburzenie

W tym samym czasie w kregach amerykańskiego Ministerstwa Sprawiedliwości w Waszyngtonie i służb wywiadowczych narasta oburzenie. Niezadowolone Amerykanów wynika z protekcji, udzielanych przez bankierów szwajcarskich niektórym rekinom zajmującym się nielegalnym handlem narkotykami.

Tak jak pierwszą lepszą bananową republikę Morza Karaibskiego, amerykańskie służby bezpieczeństwa biorą Szwajcarię na podsłuch przez 24 godziny na dobę. Z nie ukrywaniem cynizmem gwałcą suwerenność Szwajcarii każdego dnia. Nikt jednak nie protestuje. Dotychczasowe stosunki handlowe między wielkim bratem amerykańskim a małutką, ale jakże upartą konkurentką, nie zewalają na jakikolwiek znaczący protest z jej strony.

Ponad 70 000 specjalistów rozsiadanych po całym świecie pracuje dla National Security Agency (NSA). NSA nasłuchuje zarówno przyjaciół, ja i nieprzyjaciół. Kilkudziesięciu agentów NSA czuwa bez przerwy nad szwajcarskim terytorium. Nie uciekną im żaden sygnał radiowy, żadna rozmowa telefoniczna. Ich supernowoczesne komputery zaprogramowane są tak, aby wylapywać, grupować i odczytywać wszystkie rozmowy, w których pojawiają się zaprogramowane wcześniej słowa-klucze. I tak na przykład komputer wylapywa słowo „stuff” (w języku handlarzy narkotykami oznacza ono heroinę); wszystkie rozmowy telefoniczne, w których pada to słowo są natychmiast nagrywane, grupowane i transkrybowane. Zgrupowanie rozmów, w których pojawiają się kody: „Shakarchi”, „Credit Suisse”, „Kop” itp. jest dla NSA dziecinną zabawą.

## Podsłuchiwana Szwajcaria

W okół granic Szwajcarii NSA instaluje specjalne cztery bazy, przystosowane do podsłuchu zarówno rozmów oficjalnych, jak i prywatnych. W południowej części RFN NSA instaluje się na wysokości bazy lotniczej w Ramstein. Wschodnia Szwajcaria podsłuchiwana jest przez urządzenia zainsta-

lowane w okolicach Augsburga i w pobliżu granicy RFN z Austrią (Bad Aibling). Pozostała część Szwajcarii jest „nasłuchiwana” z bazy włoskiej w Sorico, znajdującej się kilka kilometrów od południowej granicy kantonu Tessin.

Amerykańska NSA nie zajmuje się jedynie podsłuchem międzymiastowych rozmów telefonicznych. Bardziej interesujące wydaje się jej podsłuchiwanie rozmów prywatnych i służbowych-czołowych osobistości rządu szwajcarskiego w ich biurach Pałacu Federalnego. Okazała rezydencja ambasadora USA w Szwajcarii położona jest w pobliżu Federalnego Ministerstwa Sprawiedliwości. Specjaliści NSA, którzy pracują w tej rezydencji, posiadają niezwykle czule mikrofony, nazywane long-range, będące w stanie wylapać wszystkie rozmowy w promieniu kilku kilometrów, łącznie z tymi, które przeprowadzane są ścisłym głosem i w zamkniętych pomieszczeniach.

Ze swej strony Konfederacja Szwajcarska przywiązuje wielką uwagę do ochrony prywatności rozmów telefonicznych swych obywateli. W przeciwnieństwie do innych krajów europejskich decyzje o zainstalowaniu podsłuchu należą tutaj do rzadkości i są obwarowane wieloma przepisami. W 1988 roku na podstawie decyzji ministerialnej wydano zgody na założenie podsłuchu w 44 przypadkach, w związku z rozpoczętymi śledztwami. 1 stycznia 1989 roku jedynie 58 aparatów telefonicznych znajdowało się na podsłuchu. W ciągu tego roku anulowano 46 decyzji. W planie kantonalnym 1988 roku wydano 397 decyzji o założeniu podsłuchu, wydanych przez organy do tego upoważnione (sędziowie śledczy, prokuratorzy). Od stycznia 1989 roku jedynie 69 aparatów telefonicznych znajdowało się na podsłuchu. W 1988 wydane zostało również 5 zezwoleń na podsłuch w związku z rozpoczętymi śledztwami wojskowymi.

## Dymisja pani minister

Zimowego poranka 1988 roku prezydent republiki znajduje na swoim biurku odpis złośliwej rozmowy przeprowadzonej 27 października. W piątek 9 grudnia rząd zbiera się na posiedzenie przy drzwiach zamkniętych. Elisabeth Kopp, której przedstawiono odpis, zaprzecza, gubi się w wyjaśnieniach. W końcu przyznaje się do zarzucanego jej czynu. Następnego dnia opuszcza Berno i udaje się do swej willi w Zumikon w pobliżu Jeziora Zuryskiego. Ulegając życzliwej presji swych „przyjaciół” z politycznego światka, w kilka dni potem podaje się do dymisji.

W Szwajcarii prasa jest niezależna. I czasami odważna. Amerykańskie służby bezpieczeństwa decydują się na przekazanie lokalnej prasie niezwykle bulwersujących informacji. Amerykanie, zirytowani wyjątkową tolerancją władz szwajcarskich w stosunku do tych, którzy zajmują się nielegalnym handlem narkotykami, bronią i obrotem kapitałów o pochodzeniu kryminalnym, z każdym dniem przekazują coraz więcej informacji.

Rząd Szwajcarii, w obawie przed utratą wiarygodności wobec swych partnerów międzynarodowych, mianuje Hansa Hungerbuhlera prokuratorem nadzwyczajnym. Hungerbuhler pełni obowiązki prokuratora Bazylei i cieszy się opinią człowieka o nieskazitelnej reputacji.

Elisabeth Kopp kierowała swym ministerstwem przez 4 lata. Jej kompetencje jako administratora i prawnika są bezsporne. Tak jak papież w Watykanie, wymagała od swych 1491 funkcjonariuszy całkowitej i zupełnej lojalności. Jej ministerstwo to twierdza.

Hungerbuhler i jego współpracownicy biorą się do pracy. Już w pierwszych dniach dochodzenia odkrywają rzecz niezwykłą. Na jednym z projektów przepisów prawnych prokurator zauważa sugestie, poprawki i uzupełnienia, dokonane odręcznie przez Hansa W. Koppa! W ten sposób przyszłe przepisy prawne, dotyczące tzw. ochrony danych, zostały poprawione przez władcę „mężusia”, tuż przed przekazaniem ich do zaakceptowania przez rząd, a potem parlament. Biorąc pod uwagę aktywność zawodową Hansa Koppa i jego stosunki, fakt wtrącania się do aktów prawodawczych wywiera jak najgorsze wrażenie... I nie tylko. Pod znakiem zapytania są niektóre przepisy prawne i postanowienia promulgowane w ciągu ostatnich czterech lat.

## „Skromna” emerytka

Dymisja Elisabeth Kopp powinna nastąpić 31 marca 1989 roku. 12 stycznia prokurator nadzwyczajny Hungerbuhler przedstawia wstępny raport z dochodzenia. Tego samego dnia rząd nalega, aby pani Kopp nigdy więcej nie przekraczała progu swego gabinetu i natychmiast powróciła do domu.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło: Elisabeth Kopp jako posiadaczka paszportu dyplomatycznego otrzyma najnormalniej w świecie „skromną” emeryturę w wysokości 550 000 franków francuskich rocznie. Tak jak wszyscy byli doradcy federalni, będzie mogła podróżować wraz z mężem bezpłatnie (pierwszą klasą) na wszystkich liniach Szwajcarskich Linii Lotniczych Swissair. Nadto wszystkie ich rachunki za rozmowy telefoniczne, telefax i telex pokrywane będą przez FIT (Poczta Szwajcarska — przyp. śl.). Pani minister, na nieszczęście prowadzących dochodzenie... spędzi w swoim ministerstwie jeszcze dwie noce i jeden dzień.

27 lutego pod szklaną kopułą Pałacu Federalnego zbierają się członkowie obydwu Izb Parlamentu na obrady sesji wiosennej. Rada Państwa pozbawia jednogłośnie Elisabeth Kopp immunitetu ministra i oddaje ją do dyspozycji sądu. Prawda ma to do siebie, iż raz przebudzona, nie daje się tak łatwo uspić. W tajemnej świątyni kolejne odkrycia pojawiają się z szybkością błyskawicy. Rada Federalna zmuszona jest do wydania decyzji o wszczęciu kolejnego dochodzenia. Prowadzenie śledztwa, którego celem jest całościowa analiza praktyk stosowanych przez urzędy Ministerstwa Sprawiedliwości, powierzona zostaje byłemu prezydentowi Trybunału Federalnego, Arthurowi Haefligerowi.

W archiwach Prokuratury Generalnej odkryje on próby o współpracę. Listy gończe, decyzje o aresztach przesłane przez Interpol, amerykańskie FBI, przez urzędy wymiaru sprawiedliwości Włoch, Ameryki i Turcji, a dotyczące najbardziej poszukiwanych w świecie handlarzy narkotyków i broni. Większość tych „wyjątkowych osobistości” od lat spokojnie mieszka pod swymi własnymi nazwiskami (rzadziej pod przybranymi) we wspaniałych willach nad brzegami Jeziora Lemanańskiego i Zuryskiego. Wspaniałą klientelę wielkich międzynarodowych banków szwajcarskich cieszą się ogólnym szacunkiem i często skuteczna protekcją. C.D.N.

# TEATR NIESZCZERY

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

że jedna prawdziwie zaśpiewana piosenka.

Oczywiście owa gra z „literackością” i „dokumentem”, z fikcją i prawdą, ów autotematyzm mógł banalną historyjkę uszlachetnić. Niestety, nie mógł jej zastąpić skoro już zdecydowano się na taką ramę fabularną. Tym bardziej, że całość rozwięta, nudna i szablonowa. O Dietrich dowiadujemy się, że była „sztuczna” i „zrobiona”, ale miała „klase”, że nie robiła, a była kochana; o aktorach, że kłamią w życiu i w sztuce, choć marzą o prawdzie; o reżyserach, że nie rozumieją

aktorów, choć chcą; o próbach, że są przelewaniem pustego w próżne, że polegają na wzajemnym obrażaniu się artystów. O konwencji teatralnej, że jest niczym innym jak nabijaniem widza w butelkę z wodą, a nie z wódką itd. itp. Gdyby wśród tych rewelacji weszła na scenę sama Marlena Dietrich i zaśpiewała, nikt by nie zauważył; tak jak paradoksalnie nie widać i nie słysząc Agnieszki Mandat i Marka Litewki śpiewających piosenki Dietrich. Cały misternie przywoływany krąg aluzji, podobieństw, parodii i replik sprowadza się do kilku gestów laseczki, do machania rękami, do reinkarnowania kadrów filmowych. Lola-

Lola na pianinie, Lola—Lola macha szczupłymi nogami. Cały plan rozważań o sztuce w istocie jest samoobroną. Gdybyśmy powiedzieli, że Agnieszka Mandat niezręcznie i niewolniczo naśladuje Marlenę to słowny komentarz zaświadcza, że aktorzy mają tego świadomość. Gdybyśmy stwierdzili, że ośmiela się grubiańsko parodiować, to artyści tekstem scenariusza taką postawę potępiają, słowem znowu „sa świadomi”. Gdybyśmy marzyli o samodzielnej, twórczej inncnizacji — proszę — wszak artyści pokazują proces dorastania do wolności. Czyż iza ostatnia Jej nie świadczy o wywiciu z krainy pastiszu w prawdę? Czyż błazeński ko-

stium Jego nie mówi wyraźnie o kondycji teatru i Jego na nią niezgodzie?

A mnie marzy się, aby w tej samej scenerii „Piwnicy” z zespołem muzyków, bez stolika do nieudanej próby, bez owych upiornych drzwi — kurtyny i nie mniej upiornego błyszczącego wnętrza pseudo-teatru, Agnieszka Mandat i Marek Litewka weszli na małą estradę i zaśpiewali, zagraли piosenki Dietrich tak, abym wiedziała, że robią to dla siebie i dla mnie, widza, biorąc za swój występ pełną odpowiedzialność, że grają, śpiewają, tak jak czują. Tak, jak rozumieją. Tak, jak potrafią. Aby siebie i mnie, widza, po-

traktowali poważnie. Bez cudzysłowu, próby, umowno ci. Za proste? Może, ale uczciwie.

Małgorzata Ruda

MARLENA. Scenariusz i reżyseria A. Domańska. Scen. M. Braun. Plastyka ruchu scenicznego B. Robotycka. Teksty piosenek W. Młynarski. Przekład fragmentów biografii Marleny Dietrich E. Morawiec. Aranżacja piosenek i kierownictwo muzyczne M. Mejza. Stary Teatr. Prapremiera w PIWNICY „PRZY ŚLAWKOWSKIEJ 14” 23 lutego 1991 r. Premiera prasowa 14 marca 1991.

## VOX POPULI

Teresa Walas

Pierwotne znaczenie słowa „demokracja” zawiera w sobie obietnicę wpływu każdego z nas na życie zbiorowości. W praktyce wszakże, jak wiadomo, rzeczy mają się nieco inaczej. Racja wciela się w liczbę i opiera się na przekonaniu, że rozum rozdzielony jest proporcjonalnie, słuszność więc znajduje się po stronie większości. Godzimy się na to radośnie, póki znajdujemy się wśród tych, którzy stanowią większość. Gdy jest na odwrót, żelazne prawo demokracji odczuwamy równie boleśnie jak przemoc.

Miasto, w którym mieszkam, należy do bezennych zabytków kultury. W oczach komunistycznej władzy uchodziło za reakcyjne i klerykalne, słazano je więc na powolne komanie. Sypały się tynki szesnastowiecznych kamienic, zachodziły mgłą witraże, siarkowaty trąd porażał figury świętych. Miasto dusiło się zaciężnym dymem i spalinami, dygotało od ulicznego ruchu, dławilo się tłumami zgłodniałych turystów. Ludzie zasiedlający je od pokoleń, niknęli pośród przybyszów, dla których było to pierwsze z brzegu miasto i którzy nie widzieli powodów, by okazywać mu szczególną czułość.

W sercu mojego miasta znajduje się Rynek. Jeden z najpiękniejszych w Europie. Z renesansową budowlą pośrodku. Z dwoma kościołami i Ratuszem. Otoczony czworobokiem starych kamienic. Miejsce stworzone do tego, by przysiąść tu na moment, zagapić się słodko na gotycką fasadę kościoła, powieść wzrokiem po zgrabnie zamkniętej przestrzeni, porozmawiać z przyjaciele, zjeść z dzieckiem lody, posłuchać łagodnej muzyki, pomyśleć o przemijaniu życia i wieczności sztuki. Jednym słowem — uszlachetnić przez chwilę swoje istnienie, wylawiając je z chaosu codzienności.

W okresie, który coraz pewniej w całości nazywamy minionym, Rynek był miejscem wieców pierwszomajowych i antyrządowych demonstracji. Z upodobaniem organizowano również na nim występy zespołów ludowych, folklor bowiem uznawany był za sztukę najdroższą i najmniej groźną. Wieczorami pośród tonących w ciemności zabytkowych budowli snuły się z wrzaskiem watahy pijaków sięgając popioł i budząc zdumienie cudzoziemców opuszczających renomowaną restaurację o pięćsetletniej tradycji. Teraz, gdy wszystko wskazuje na nadziejście lepszych czasów, moje miasto także miało prawo liczyć na poprawę losu. Zwłaszcza że nowe czasy miały być czasami tryumfu wartości. Wolność mojego miasta wyobrażałam sobie jako wolność ku pięknu, które jest mu

przyrodzone. Wreszcie złapie oddech, otworzy swoje naturalne przestrzenie, zapchane dotąd żelaznym samochodem, strząśnie z siebie brud i hałas i stanie się tym, czym jest naprawdę: kamiennym poematem. Dla ludzi skazanych na brzydotę socjalistycznych osiedli, żyjących na co dzień w rojowiskach z wielkiej płyty, wejście w centrum miasta będzie duchową terapią. Taką jak teatr, muzyka, obcowanie z przyrodą.

Okazuje się wszakże, iż systemy wartości znacznie się między sobą różnią niezależnie od politycznego nacisku. Idea świętyni bowiem, jaka była mi bliska, została wyparta przez ideę jarmarku, którą niesie w sobie duch wszechzdrabiającego kapitalizmu. Na Rynku mojego miasta przy każdej okazji ustawia się szeregi bud, w których sprzedawane są towary różne: garnki i majtki, kosmetyki i herbata. Zgęszczają się samochody rzekomo nie mające tu wstępu, z głośnikami i stoisk płynnie hulaśliwa muzyka. Przez płytę Rynku przetacza się tłum ludzi. Są szczęśliwi. Oto jeszcze jeden dom towarowy rozłożony na niepotrzebnej, wolnej przestrzeni. Można za jednym zamachem kupić bawełnianą bluzkę i austriacką tacę z czerwonego tworzywa. Gra muzyczna, dymią kielbaski na rożnie.

Tłum przez wiele lat żył polowaniem na towary. Kupowanie stało się esencją jego istnienia. Miejsce, gdzie nie można nic kupić, jest miejscem martwym i niegodnym zainteresowania. Toteż prasa tutejsza pisze: Rynek nareszcie ożył! I dla niej bowiem jedyną formą życia jest jarmark. Rzecz jasna: w tradycję Rynku wpisany jest handel i idea pięknego miejsca także go uwzględnia. Chodzi o proporcje i o kształtowanie społecznej wyobraźni. Więc ludzi z pięknem architektury została zerwana, jak zerwana została też więź z przyrodą. Dlatego zalewają asfaltem łąki, zasypują śmieciami góry, marzą, by dojechać samochodem do Doliny Pięciu Stawów i pod bramę kościoła Mariackiego. To oni stanowią większość społeczeństwa. Po ich stronie jest siła, która łatwo staje się racją.

Nie jestem pięknoduchem. Lubię jarmarki. Ale myślę, że mogą się odbywać gdziekolwiek. Chrystus wypędzający przekupników ze świątyni także nie był zadowolony z przekonaniem handlu. Jestem po stronie życia. Ale sprzeciwiam się myleniu go z bezmyślnością i wieszczym pragmatyzmem. Siła większości, która uważana jest za siłę zbiorowego rozumu, bywa niekiedy także siłą złych nawyków. Te zaś często ulegają zmianie pod wpływem mniejszości.

Michała Rożka przewodnik po osobliwościach Krakowa

## Przekleństwo mistrza Jana

Teatr im. Juliusza Słowackiego. Ta wytworna, ekletyczna budowla powstała w latach 1891—1893, podług projektu znanego architekta Jana Zawiejskiego, na miejscu średniowiecznych zabudowań klasztoru Duchaków de Saxia i kościoła św. Ducha, pamiętającego czasy ostatnich Piastów. Te gotyckie budowle od dzieciństwa fascynowały Jana Matejkę, bez reszty zakochanego w starym Krakowie. Zabytki niejednokrotnie inspirowały mistrza. Budowle pozakonne aż do roku 1879 służyły jeszcze jako pomieszczenia niektórych oddziałów szpitala św. Łazarza. Gdy z końcem lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia radni zaczęli myśleć o budowie nowego teatru miejskiego, wybór padł na plac św. Ducha, na owe zrujnowane budynki poduchackie. Faktycznie były one w stanie całkowitego rozkładu, grożąc nawet bezpieczeństwu przechodniów. Jedynie kościół św. Ducha wraz z

przyległą kaplicą trzymał się nie najgorzej. I oto Rada Miejska zdecydowała w roku 1885 o zburzeniu całego tego średniowiecznego kompleksu, aby mógł stanąć teatr.

W obronie zabytków wystąpił ostro i zdecydowanie Matejko. Artysta walczył z przerażającą głupotą i nieuczciwością ludzka, ciasnotą poglądów władz miejskich — „przekładał, prosił, protestował”. Wpadł nawet na pomysł, by budynki przerobić na pracownię, gdzie by pomieścił swoje zbiory. List artysty pozostał bez odpowiedzi. Nocą, chyłkiem, zburzono historyczną pamiątkę. Kawał dziejów Krakowa. Wtedy, pełen goryczy, Matejko odesłał radzie honorowe obywatelstwo oraz zapewnił, że obrazów swoich nigdy tutaj nie wystawi. Pismo skierowane do radnych kończył słowami: „oby kiedyś, w ostatniej godzinie, zastąpił Chrystusa Pana miłosierniejszym dla siebie, niż oni okazali się i okazują się jeszcze względem

cacigodnych murów starego Krakowa”. Był dzień 23 maja 1892 roku. Współcześni powiadali — w tym malarz Wincenty Wodzinowski — że mistrz Jan przeklął miejsce, przyszłego teatru. Wprawdzie, tuż przed śmiercią, zaszczylił uroczyste otwarcie gmachu przy placu św. Ducha, ale przekleństwo pozostało... Owocuje szczególnie pod koniec dwudziestego wieku, w momencie przygotowań do jubileuszu teatru. A przykłady można by mnożyć. Rozkład dotyczy nie tylko ludzi tu pracujących, lecz i substancji budynku, który w wielu partiach po prostu się sypie. Budowany przed stu laty pośpiesznie, teraz w pełni ujawnia wszelkie niedoróbki Zawiejskiego i jego ekipy. A nigdy przejawy rozsyпки wewnętrznej nie miały tak adekwatnej formy odniesienia do rozkładu wewnętrznego. Dyrektorsko-aktorskiego. Czyżby mistrz Jan rzucił klątwę obowiążującą całe stulecie?

Andrzej Zaręba przedstawia:



Jerzy Kosidki

HYDE PARK  
Czytelników

Dziś prezentujemy dwa z zestawu wierszy nadesłanych przez JANUSZA PYZIŃSKIEGO z pięknej wsi Podgrodzie koło Dębicy. Autor nie jest już debiutantem, drukował wiersze w prasie literackiej i regionalnej, a ZDK „Stomil” opublikował mu cztery arkusze poezji.

Wiejski listonosz

przechodził obok  
przed nim dziesiątki  
kilometrów uśmiechów  
przechodził obok  
za nim grymas  
znów nie napisanego listu  
przechodził obok  
niepewność jak kamień  
uśmiechem za uśmiech  
— jutro na pewno —

szukałem słońca w rżnię  
szukałem w zapomnianych  
szufladach  
w zapachu perfum  
szukałem rankiem  
i o zmroku  
w południe  
jak słonecznik  
rozkwitł księżyc  
podaj mi rękę  
razem pójdziemy  
zemdlały kwiaty  
i płatki na twarzach  
nie topnieją  
dobranoc słońce  
dobranoc  
do lepszych snów

Graffiti

WAŁĘSA NA OLTARZE!

Kraków, ul. Gołębia

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”, Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

ISSN 0867-4094